

PRETORIANIN

BARTŁOMIEJ MISINIEC



WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2008

Redakcja
Jakub Kołacz SJ

Korekta
Zofia Palowska

Projekt okładki
Barbara Łepkowska
PLENEROWNIA

ISBN 978-83-7505-246-6

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 012 62 93 200 • faks 012 429 50 03
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 012 62 93 254-256 • faks 012 430 32 10
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

Zapraszamy do naszej
KSIĘGARNI INTERNETOWEJ
<http://WydawnictwoWAM.pl>
tel. 012 62 93 260 • faks 012 62 93 261

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
wydawnictwowam.pl

SPIS TREŚCI

Prolog 7

Część pierwsza 9

Część druga 165

PROLOG

Wina!!! – ryknął cesar.

Niewolnik podbiegł i napełnił puchar. Chwilę później do komnaty rażno wkroczył żołnierz.

– Czego?! – zapytał siedzący obok doradca.

Żołnierz bez słowa zasalutował, uderzając się pięścią w pierś i przekazał dwa zwoje. Cezar spytał, o co chodzi.

– Dwa dokumenty do podpisu – wyjaśnił doradca. – Zamówienie na marmury z Luny i dekret powołujący rekrutów pod broń.

– Dawaj! – wybełkotał Klaudiusz, po czym nie czytając, złożył podpis na obydwu.

Urządник szybko je zwinął, opieczetował i położył obok siebie. Chwilę później władca, sięgnąwszy po puchar, nieopatrznie zrzucił zwoje pod stół. Doradca podniósł obydwu, ale ponieważ były już zwinięte i opieczetowane, wyglądały teraz identycznie.

– Który jest który? – podrapał się po głowie.

W końcu wybrał na chybił trafił i przepitym głosem rozkazał żołnierzowi:

– To trzeba zawieźć do Luny, a to do tej osady za Rzymem, gdzie zarządzo pobór...

Głęboka noc zapadła nad obrzeżami Luny*, miasta znanego głównie dzięki kamieniołomowi, który dostarczał marmuru dla całego imperium. Okolica wyglądała na pogrążoną we śnie. W rozgrzanym powietrzu unosił się upojny zapach lawendy i tamaryszków. Od czasu do czasu nieustanny świergot cykad przerywały psy. Ich zajadłe poszczekiwanie nie dochodziły jednak do wnętrza taberny, gdzie panował nieustanny zgiełk. Tu robotnicy przychodzili po pracy pogwarzyć przy kielichu wina, pożartować, zabawić się, odpocząć.

Wtem drzwi otwały się i w snopie światła ukazała się postać mężczyzny. Twarzy i szat nie miał pokrytych pyłem z kamieniołomu, lecz czarną mazią. Szerokie bary i potężne dłonie zaświadczały, że jest kowalem. Poruszał się z trudnością, a po niepewnym chodzie można było dostrzec, że przyczyną kuśtykania jest nie tylko kalectwo...

Stanął niezdecydowany na środku placu i podrapał się po głowie. Niebawem wyciągnął kilka miedziaków – resztki wypłaty, którą otrzymał za końską uprząż, wykonaną dla wozaka z sąsiedniej wsi. Nawet nie spostrzegł, jak zajeżdża powóz wyładowany towarami.

Wkrótce doszedł go skrzeczący głos:

* Luna – (dzisiejsza Carrara) miejscowość w Etrurii słynąca z kamieniołomów marmuru, eksploatowanego głównie w okresie cesarstwa.

– Od gapienia monet nie przybędzie!

– Idź precz-cz! – czknął kowal do przybysza niewielkiej postury, który ze swoją bujną czarną brodą, sięgającą mu prawie do pasa, wyglądał co najmniej cudacznie.

Małe oczka, gruby nos i szeroki uśmiech nadawały twarzy karczka charakterystyczny wyraz, a szpiczaste uszy ozdabiały złote kolczyki. Po ubiorze kupca można było poznać, że pochodzi z dalekich stron. Zeskoczywszy z kozła, podszedł do kowala i wcale nie zraziwszy się jego niezbyt życzliwym przyjęciem, odrzekł:

– Chodź lepiej ze mną. Napijemy się czegoś.

– A pójdziesz ty precz!

Po chwili jednak zapraszany posmutniał:

– Chętnie bym się napił, ale w sakiewce no, tego... ktoś mi zrobił dziurę. Poza tym miałem kupić prezent synkowi na trzynaste urodziny. A co kupię za to? No co? O, ja biedny! I co ja mam z tej harówki?

– Zaczekaj – skrzeczący głos nie dawał za wygraną – może coś poradzimy.

– A co tu można poradzić na mój los...?

– Chwileczkę. Pokaż, ile masz.

– Czego?

– No, pieniędzy.

Hulaka ociągając się, pokazał kupcowi kilka monet.

– W istocie, skromna sumka... – zacmokał człowieczek, drapiąc się po brodzie.

– No przecież mówiłem. O, ja biedny! Ech, idę sobie.

– Hej! A gdzież to?

– Sam już nie wiem... Chyba tam, skąd wyszedłem...

– Lepiej chodź ze mną, mam dobry prezent dla twojego smyka. A jak dla ciebie, przyjacielu, to wystarczy ta kupka miedziaków, mimo że sam na tym stracę.

To powiedziawszy, wziął „przyjaciela” pod rękę i doprowadził na tył wozu. Następnie podwinął płachtę i kowal zobaczył leżącą

wśród poukładanych towarów dużą sukę i tulące się do niej czarne szczenięta. Na widok obcego troskliwa matka zaczęła groźnie warczeć, więc pijak odskoczył, ale kupiec pogłaskał ją łagodnie i powiedział:

– Spokojnie, mała... To tylko mój nowy przyjaciel.

Suka uspokoiła się. Tymczasem handlarz złapał za kark jedno ze szczeniąt i wcisnął je w potężną dłoń, jednocześnie zręcznie wyciągając pieniądze z drugiej.

– A nie mówiłem? Dla chłopaka prezent jak ulał!

– Ulał, nie ulał, ale przehulał – z rezygnacją odpowiedział nabywca, patrząc bez przekonania na małe czarne oczka i na jęzorek, który momentalnie zaczął go lizać. – Dobrze, dobrze mały... no, już dobrze... Zabieram cię.

– A zatem dobiliśmy targu.

– Jeszcze dobrze wiedzieć z kim...

– Ależ oczywiście – zwą mnie Floriusz. Jestem Syryjczykiem, z Antiochii. Wybacz, teraz chciałbym ja...

– Antoniusz Decypiusz – wyrecytował dumnie kowal i ruszył w stronę domu.

*

Antoniuszowi powrotna droga zajęła więcej czasu niż zwykle. Złożyły się na to problemy z chorą nogą, wypite wino i wierzące się nieustannie szczenię. Kiedy dotarł już do celu, zastał dom pogrążony w ciemnościach.

– Tym lepiej, piesku, nie oberwie mi się od starej.

O, w jakim był błędzie! Kiedy tylko przekroczył próg, usłyszał jak zwykle:

– Gdzie byłeś?!

– Eee, no więc, ja...

– Przyniosłeś pieniądze?!

– No... no właśnie, ja...

– Nie! Ja już nie mogę. I czemu się ze mną kłócisz? Znowu przepiłeś! Znowu będziemy musieli zaciągnąć nowe długi, zamiast spłacić stare! Dlaczego mi to robisz?! Nie widzisz, że wiedzie nam się coraz gorzej? Zlituj się chociaż nad dzieckiem. Miałeś kupić Proximusowi prezent! – krzyczała coraz głośniej.

– No właśnie...

– Nie przerywaj, jak do ciebie mówię! – wrzasnęła w końcu, nie zwracając uwagi na niezdarnie upuszczoną i trzęsącą się ze strachu czarną kulkę.

Hałas doszedł do śpiącego w sąsiednim pomieszczeniu chłopca, który zapalił świecę i wszedł do izby. Na jego widok rodzice zamilkli. Syn jednak wcale na nich nie patrzył, choć radosny uśmiech rozjaśniał mu twarz.

– O! Jaki piękny!!! – krzyknął i podbiegł, by przytulić drobinę.
– Dla mnie?

Kalpurnia dopiero teraz zauważyła szczeniaka i zamieniwszy spojrzenie z mężem, odrzekła:

– Tak, kochanie, dzisiaj są twoje trzynaste urodziny. Tatuś sprawił ci prezent. Podoba ci się?

– Jest wspaniały! – wykrzyknął chłopczyk, tuląc psa.

Następnie uściskał rodziców, co ostatecznie zakończyło awanturę. Widząc radość w oczach synka, bez słów postanowili zatrzymać szczeniaka, mimo że wiązało się to z licznymi obowiązkami i dodatkowymi kosztami.

Gdy Proximus bawił się z malcem, matka postanowiła podgrzać placki jęczmienne i oliwę, bo nikt chwilowo nie miał ochoty na sen.

– Postaraj się o legowisko. I to migiem! – rozkazała mężowi, który potulnie wycofał się za drzwi.

– Jak go nazwiemy?

– Sama nie wiem, ale skoro jest twój, to ty powinieneś dokonać wyboru. Ja mogę ci tylko podsunąć kilka imion.

– Dobrze, ale... to on czy ona?

– Musimy sprawdzić – rzekła mama i po krótkich oględzinach stwierdziła rzeczowo – pies.

Następnie rozpoczęła wymienianie imion: wszystkich, jakie była w stanie sobie przypomnieć lub też wymyślić. Jednak żadne nie przypadło do gustu synkowi, który zdążył zjeść już dwa placki i nakarmić resztkami psa.

– No to może Ursus?

– Nie, to też do niego nie pasuje... – powiedział sennie Proximus.

– A Dziubus?

– Mamo!!! On kiedyś urośnie i wtedy będzie Dziobem?

– To ja już sama nie wiem. Może poczekamy z tym do jutra?

– Nooo, chyba tak – powiedział, ziewając przeciągle – trochę chce mi się spaaa...

Kalpurnia delikatnie przeniosła swą pociechę do sąsiedniej izby i ułożyła, całując na dobranoc. W tym czasie Antoniusz zdążył przynieść kilka szmat, które rozłożył obok i położył na nich psa. Kiedy jednak oboje z żoną wyszli, szczeniak, piszcząc, układał się już do snu przy nogach nowego pana.

Proximus płynął właśnie przez niemający końca ocean, gdy nagle wynurzył się czarny potwór, chcący go pożreć. Chłopak rozpaczliwie starał się uciec, lecz coś krępowało jego ruchy. Bestia zbliżała się coraz bardziej i bardziej... Wreszcie przerażająca paszcza otworzyła się tuż nad nim... Zlany potem podniósł się gwałtownie i... wystraszył potwora. Wreszcie przetarł zaspane oczy, odetchnął z ulgą i wziął psa na ręce.

– No, nie liź, nie liź mały, miałem tylko zły sen. Za to ty chyba spałeś dobrze?

Piesek odszczeknął.

– No to wstajemy.

Jednym ruchem odrzucił pościel i zsunął nogi, jednocześnie w coś wdeptując...

– O nieee!!! Tylko nie to! Tfu, ale śmierdzi!!! Od dzisiaj śpisz na dworze!

Po umyciu się, cichaczem zrobił porządek i wywietrzył izdebkę. Następnie udał się do sypialni rodziców, która była jednocześnie kuchnią. Pomieszczenie to składało się z dwóch części – jedną zajmował stół i palenisko, a drugą, nieoddzieloną niczym od pierwszej, łóżko i nieco mniejszy stół pod dwoma oknami. Proximus zaczął przyrządzać sobie śniadanie. To jednak nie przychodziło mu już tak łatwo, a brzęk naczyń i krzątania obudziły matkę, która

dużo sprawniej wzięła się za robienie *ientaculum* – pierwszego posiłku, składającego się z chleba, sera i mleka.

– Nadal nie mamy dla niego imienia, mamoo...

– Nic się nie przejmuj, na pewno coś wymyślimy.

Po chwili uderzyła się w czoło.

– Posłuchaj, a może zagłędiesz dziś do dziadunia? On na pewno coś poradzi.

– Świetnie! Zaraz po pracy pójde do niego – utwierdzony w swej decyzji Proximus zdążył jeszcze krzyknąć – dzięki...!

– Ale nie dopiłeś mleka! – odrzyknęła Kalpurnia.

Jednak synek, porwawszy koszyk, biegł już co sił za dom, ścigając się z pieszkiem, który dzielnie dotrzymywał mu kroku. Wreszcie dysząc ciężko, padli na ziemię.

– Wygrałeś – poddał się Proximus.

– Hau, hau! – odszczeknął malec.

Po krótkim odpoczynku weszli do lasu, gdzie chłopak zajął się, jak co rano, zbieraniem owoców. Jego przyjaciel natomiast bawił się liśćmi i gałązkami oraz zaznaczał swoje posiadłości na mijanych drzewach. Gdy koszyk Proximusa był już pełny, ruszyli z powrotem. Słońce wschodziło coraz wyżej.

– Trzeba będzie pójść do pracy, piesku. Ale ci dobrze... Ty nie musisz. A ja...

Bezimienny zaskomlał cichutko.

– Wiem, że chciałbyś mi pomóc. Teraz to niemożliwe, ale może jak urośniesz...? Chodź, pobiegnijmy! Dom niedaleko.

Ojca już nie zastali, bo poszedł do kuźni. Kowal często zarobek zostawiał jednak u karczmarza, dlatego w utrzymaniu rodziny pomagał Proximus, który pracował u centuriona Kalatoriusza Agorikusa, posiadającego willę za miastem. Centurion zatrudniał dzieci, co było bardziej opłacalne nawet od pracy niewolników, gdyż nie musiał ich utrzymywać. W ten sposób rodzice spłacali zaciągnięte długi.

Chłopak zależnie od rozkazu zarządcy pracował zwykle w poranki. Jednak znacznie bardziej wolał chodzić do szkoły, gdzie kształcił się pod czujnym okiem *litteratora*, bo uwielbiał czytać pisma poetów i zdobywać wiedzę. Wkrótce miał ukończyć szkołę prowadzoną przez wyzwolenca Greka, a rozpocząć naukę u *grammaticusa* w samym centrum miasta. Kalpurnia bardzo wcześnie zauważyła zdolności syna i dokładała wszelkich starań, aby się rozwijały. Dlatego gdy ukończył szósty rok życia, zapisała go do szkółki prowadzonej przez Teliklesa. W ciągu następnych siedmiu lat Proximus poznał alfabet, nauczył się nieźle czytać i pisać, opłynał pamięciowo tabliczkę mnożenia, a także nauczył się liczyć, używając palców, a potem liczydła. Było to bardzo wiele, zważywszy na wiek chłopca i na dość przeciętny poziom nauczania *pedagogusa*. Główną przyczyną szybkich postępów był nieposkromiony głód wiedzy.

Tego dnia Proximus musiał jednak pójść do pracy. Tym razem zwyczajna niechęć została przytłumiona pojawieniem się w jego życiu „Bezimiennego”. Przez cały czas myślał o odwiedzeniu dziadka. Był pewien, że pomoże mu nazwać urodzinowy prezent.

Tymczasem oddał owoce mamie, która miała udać się na targ i wystawić je na sprzedaż razem z własnoręcznie wyhaftowanymi chusteczkami. Dla rodziny Decypiuszy był to kolejny zarobek.

Proximus zabrał jeszcze drugie śniadanie – *prandium* – i wraz z innymi dziećmi pobiegł polną dróżką do pracy. Udał się z nim także nowy przyjaciel, który natychmiast wzbudził zachwyt i zazdrość rówieśników. Gdy dotarli na miejsce, zostawił psa za ogrodzeniem i zamknął bramę. Ten jednak zaczął skomleć, ale chłopak zmusił go do warowania przy wejściu.

Rozpoczął pracę jak zwykle – najpierw wraz z innymi posprzątał obejście i stajnie centuriona, a potem wziął się za czyszczenie dwukonnego powozu, należącego do małżonki Agoriksxa. Było to powszechnie używane przez bogatsze kobiety, zgrabne i zwrotne *pilentum*.

Pod nieobecność gospodarza, polecenia wydawał dzieciom zarządca Ignacjusz, cyniczny i cierpki starzec. Chudy, z kępkami włosów na lśniącym czerepie, miał twarz przeoraną zmarszczkami, a blizna ciągnąca się przez lewy policzek od oka do górnej wargi odstraszała każdego. Podobno kiedyś do rany wdało się zakażenie, dlatego goiła się dłużej. Nikt jednak – nawet centurion – nie wiedział kto, kiedy, ani w jakich okolicznościach okaleczył Ignacjusza. Stał się on zaufanym Agoriksa i wszyscy wiedzieli, że lada dzień zostanie wyzwolony, oddał bowiem wielkie usługi swemu panu, uczestnicząc w jego ciemnych sprawkach.

Upoważniony do wydawania rozkazów i zarządzania domem, zgryźliwy staruch zajmował się wyszukiwaniem wszelkich niedociągnięć ze strony służby i pracujących dzieci. Nikt i tym razem nie chciał wchodzić mu w drogę.

A słoneczna kula powoli sięgała zenitu.

– Już niedługo koniec – rozmyślał chłopak. – Reszta szybko zleci.

Korciło go, aby zaglądnąć do psiaka, ale nie chciał narazić się zarządcy. Nagle jednak zaczęła się krzątanina i dało się wyczuć wśród służby pewną nerwowość. Wszyscy biegali tam i z powrotem – coś wisiało w powietrzu.

– Co się dzieje? Dlaczego wszyscy tak się spieszą? – zastanawiał się Proximus.

Wtem usłyszeli rumor otwieranej bramy i zanim się spostrzegli, na podwórko wjechał galopem sam Kalatoriusz Agoriks. Zatrzymawszy śnieżnobiałego rumaka tuż przed drzwiami, dziarsko zeskoczył, rzucając lejce zarządcy i nawet nie spojrzawszy na stojące z pootwieranymi buziami dzieci, udał się do mieszkania.

– Na co się gapicie? Wracać do roboty! Pan przyjechał, a wy się objacie?! – krzyczał starzec, odprowadzając konia do stajni.

Dzieciaki posłusznie wróciły do przerwanych czynności. Nikt nie zauważył, jak lekkim truchcikiem do domu centuriona wbiegł mały, czarny piesek, który z nosem przy ziemi szukał swego właściciela.

Gdy zobaczył wbiegające po schodach nogi w ciężkich sandałach, których rzemienie sięgały niemal kolan, natychmiast udał się za nimi. Wbiegłszy na górę, znalazł się w długim korytarzu, po którego bokach ustawione były na piedestałach popiersia cesarów, poetów i filozofów, a także kosztowne wazy. Korytarz ozdobiony był rozłożystymi pnączami bujnej, egzotycznej rośliny. Biegły one od sufitu do posadzki, wypełniając luki między kolejnymi statuetkami.

Podążając za centurionem, nie omieszkął przystanąć i zaznaczyć swojej obecności. Nie wiadomo kiedy ogonek zaplątał mu się w chwytliwe kolce. Głuchy huk roztrzaskującego się naczynia wytrącił centuriona z zadumy. Błysk gniewu – tak dobrze znany podwładnym Kalatoriusza – ukazał się w jego oku. Chwycił sprawcę za kark i wybiegł na zewnątrz.

W tym samym czasie Proximus uzmysłowił sobie, że przecież brama jest otwarta, więc piesek jakoś musiał dostać się do środka. Chwilę później usłyszał głośny pisk i ku swemu przerażeniu ujrzał go w łapskach gospodarza. Ten wyciągnąwszy zwierzątko przed siebie, krzyknął:

– Zarządca!

– Tak, panie... – sługa pojawił się najszybciej, jak tylko potrafił.

– To... Co to ma znaczyć?! No...? – zasapał centurion, podstawiając mu szczeniaka pod nos.

– Nie mam pojęcia, panie, widzę to coś po raz pierwszy, ale...

– Załatw to szybko i sprawnie!

– Chodź tu, ty zawszony kundlu, już ja ci pokażę! – warknął starzec, dobywając noża.

Wtem rozległ się rozpaczliwy krzyk:

– Neeee!!! Nie zabijajcie! Panie, błagam, nie pozwól! Dopiero co go dostałem, ja...

– Dość! – gospodarz podniósł dłoń, tamując dalszy potok słów.

– Ciebie też ukarzę: właśnie straciłeś pracę.

– Panie, błagam... Już nigdy nie pokażę ci się na oczy, tylko daruj mu życie!